

O języku wokół nienarodzonych

Czy w dyskusji toczącej się wokół losu dzieci nienarodzonych powinniśmy konsekwentnie trzymać się języka medycyny i w ramach ustalonej międzynarodowo terminologii zawsze mówić o płodzie, a nie o dziecku; o terminacji ciąży, a nie o jego zabiciu? Jeśli bliżej przyrzeć się tej kwestii, nie wydaje się ona wcale tak prosta i jednoznaczna, jak chciałoby to czasem widzieć tzw. środowiska pro-life.

Gdy poruszamy tematykę ciąży w języku specjalistycznym, powinniśmy uciekać się do postawy redukcjonistycznej, tzn. konsekwentnie stosować tzw. brzytwę Ockhama i operować tylko takimi terminami, które określają to, co jest nam dane w swojej czystej biologii. Naturalizm metodologiczny jest bowiem nieodłącznym składnikiem metodologii naukowej, znanej nam przynajmniej w dzisiejszej postaci. To on nauczył nas, żeby jednak czasem nie mnożyć bytów bez wyraźnej potrzeby i zachować suchy, sceptyczny stosunek do otaczającej rzeczywistości wyłącznie empirycznie poznawczej. Pytanie jednak, czy w założeniach filozoficznych takie – również naturalistyczne naukowo – postawienie sprawy nie sprowadza problemu do materialistyczno-ateistycznej postawy światopoglądowej. Wydaje się, że aktualnie mamy z tym procesem do czynienia, w Polsce zaś – wraz z jej pełnym (dopiero!) wejściem w nowoczesność i idącą wraz z tym procesem galopującą laicyzacją – jest to widoczne w dyskursie i w języku nie tylko na poziomie dyskusji o aborcji.

Wydaje mi się, że dla osób niepopierających aborcji najlepiej byłoby posługiwać się terminami medycznymi w sferze ściśle medycznego określania konkretnych sytuacji, natomiast w perspektywie poglądów i przekonań i/lub wiary mówić o „dziecku” czy „zabiciu”. Ponowię jednak pytanie, czy przyjęcie „neutralnej” terminologii medycznej nie forsuje jednocześnie mechanistycznej wizji człowieka, redukującej go do pragmatycznego utilitaryzmu i – w konsekwencji – usuwania tych, którzy „nie zasługują” na to, by istnieć (bo np. są za brzydzy albo nie powinni się tyle męczyć w swoim bólu i cierpieniu).

Cóż, słynne i nieco już oklepane powiedzenie Wittgensteina o języku zakreślającym granice naszego świata wydaje się mimo oklepania nadal – a być może bardziej niż kiedyś – aktualne. Jako osoby popierające pomoc kobietom zamiast nakłaniania ich do aborcji musimy głęboko przemyśleć, czy powinniśmy przyzwalać na coraz częstsze i intensywniejsze używanie terminu „płód” w przestrzeni publicznej. Dyskurs jest kształtowany przez język, to oczywiste, więc i władza nad nim daje przewagę jednej ze stron nad drugą. Tak jest również w dyskursie o aborcji. Kto ma moc kształtowania rzeczywistości, kreuje ją – albo na przenikniętą mimo wszystko myśleniem metafizycznym, albo na skrajnie redukcjonistyczną. W terminologii naukowej medycznej nie jest to tak rażące i potrzebne jest w tej wąskiej dziedzinie przyjęcie skrajnie empirycznej metodologii, tzw. metodologicznego naturalizmu. W terminologii filozoficznej i etycznej, a także (ostatecznie) religijnej potrzeba jednak większego namysłu nad konsekwencjami używania terminów dehumanizujących dziecko w trakcie ciąży. „Płód” automatycznie przekazuje nam wyraźny komunikat: to „coś”, co znajduje się w brzuchu matki, nie jest dzieckiem, jest czymś w zasadzie jeszcze nieokreślonym, nie-człowiekowatym. Przyjęcie takiej perspektywy niesie ze sobą konkretne implikacje. Jeśli coś nie jest nazywane człowiekiem, nie trzeba się w efekcie martwić o jego (nie)istnienie. Można to porównać (choć nie jest to ścisła analogia) do uprzedmiotowienia człowieka w taki sam sposób, w jaki współcześnie uprzedmiotawiane są np. kobiety. Naturalnie na tym polega w swojej najogólniejszej charakterystyce eugenika – tu w przypadku dzieci. Człowiek nie ma prawa do istnienia z samej zasady bycia człowiekiem, ale dostaje pozwolenie na życie, jeśli spełnia określone warunki (np. nie jest śmiertelnie chory). Oczywiście, mowa zazwyczaj o najbardziej skrajnych przypadkach, jednak jak widać, granica spokojnie może się z czasem przesunąć w coraz węższy zakres definicji tego, kto homo sapiens może jeszcze być, kto – już nie. Dość wspomnieć na potwierdzenie tej tezy, że w niektórych miejscach na świecie rozważana jest na poważnie tzw. aborcja postnatalna. Przypomina to dawne pogańskie praktyki sprzed czasów chrześcijaństwa lub z chrześcijaństwem równoległe współgrające w obrębie przynajmniej kultury śródziemnomorsko-bliskowschodnio-zachodniej. Ale, jak wiadomo, praktyki nawet nie tylko zabijania słabszych dzieci, tj. porzucania ich w lesie (znany powszechnie przykład Sparty), lecz również składania ludzi w ogóle w ofierze, były nieobce nie tylko naszemu kręgowi cywilizacyjnemu. Chrześcijaństwo wprowadziło nową jakość do rozumienia istoty ludzkiej (co mocno podkreśla nie tylko sama nauka Kościoła, ale i wyrosły w jej łonie personalizm) i wprowadziło ją na nowy poziom rozumienia. Dziś jest to podważane razem z pakietem innych, antypatriarchalno-antykolonialnych przekonań (nie twierdząc jednocześnie, że zawsze te przekonania muszą iść razem w zestawie i że nie można być np. zarówno zdecydowanym przeciwnikiem aborcji, jak i zdecydowanym przeciwnikiem

grzechów kolonializmu – piszę tu jedynie o ogólnym nurcie nastawionym co najmniej, mówiąc łagodnie, obojętnie wobec judeochrześcijańskich – fallocentrycznych, powiedziałaby Jacques Derrida – korzeni cywilizacji zachodniej i terenów, na których rozpowszechniła ona – lub narzuciła, powiedzieliby przeciwnicy – swoją kulturę.

Wracając do meritum – wydaje się, że faktycznie jeśli zdehumanizujemy człowieka na poziomie pojęciowo-językowym, to postawimy pierwszy krok na drodze do darwinistycznej koncepcji przetrwania najsilniejszych. Widać to wyraźnie w języku debaty publicznej. Stawiam więc ostrożną tezę, że jeśli my, przeciwnicy aborcji i (często to współgra, ale nie zawsze musi) chrześcijanie mamy bronić godności osoby ludzkiej i nie wracać do „pogańskiej” obyczajowości, musimy mimo wszystko bronić terminologii bardziej ludzkiej. Nie bać się mówić o „dziecku” i „zabijaniu” – nie z fanatycznym zacietrzewieniem, lecz po prostu, zwyczajnie, bez agresji. Umieć nazywać rzecz po imieniu ze swojej perspektywy światopoglądowej. Jeśli przyjmimy bowiem język – upraszczając – lewicy, zaafirmujemy ich słownik pojęć, to tak naprawdę zostaniemy inkulturowani przez tych, którzy z pewnością nie będą zaciekle walczyć o prawo do życia każdego człowieka – bez wyjątku, a już na pewno nie tego z wodogłowie.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa
Obywatelskiego ze środków Programu
Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
NOWEFIO na lata 2021-2030

